



Jak rośnie drzewo



„Wspinałam się po drzewach...
Uwielbiałam te najtrudniejsze. I najwyższe.”

zaskakującą, bo to było w trakcie prób – do „Jana Gabriela Borkmanna”. Po bardzo rozdmuchanym przez media „konflikcie” z Jandą wyglądało na to, że do tego teatru już nie wrócę. Wróciłam, bo pchał mnie narkotyczny niemal głód grania.

Ale coś okazało się nie do zniesienia?

Wzięłam się za tę rolę bardzo intensywnie. To trudny tekst, taki trochę tracący już myśzką, bez dużej tradycji scenicznej – trochę nie wiadomo, jak go ugryźć. Więc było to spore wyzwanie, tym bardziej że zaczęło się pewne koło – tak się składa, że w tej samej sztuce debiutowałam w teatrze. Cóż, dramat to nieco, mówiąc bez ogródek, ramotliwy. Ale w mojej postaci był ogromny ładunek emocji. I chciałam to zagrać właśnie tak trochę przeciw klasycznym wyobrażeniom, bardzo ekspresyjnie, a tu się szykowało takie bardzo klasyczne przedstawienie... Kompletnie nie mogliśmy się porozumieć. Usłyszałam w końcu: „No to zrezygnuj z roli”. Uważam, że w takiej sytuacji, obowiązkiem dyrektora artystycznego teatru jest jakieś rozstrzygnięcie takiego sporu. Po prostu potrzebne może być spojrzenie z boku, jakiś rodzaj interwencji. Tymczasem dyrektor nawet nie obejrzał przedstawienia. Poczułam się bardzo zbagatelizowana. Zrezygnowałam i z roli, i z etatu w teatrze.

Tak łatwo to się jednak nie skończyło.

Zrobiłam pokaz roli. Bo rola to nie jest mniej niż namalowany obraz albo napisana książka. Włożyłam w nią mnóstwo pracy i wysiłku. Miała to zdmuchnąć jedna rozmowa? Miałam wrócić do domu i zacząć gotować obiad? Po całej tej awanturze wylądowałam w szpitalu. Kiedy z niego wróciłam, zabrałam się za pokaz. Czułam, że w tej roli doszłam do czegoś naprawdę wartościowego. Chciałam to pokazać ludziom, chciałam też, żeby moja praca nad tą rolą nie została wykorzystana przez kogoś innego. Odbiło to się dwa razy, w Fabryce Trzciny. Były tłumy, ja zaś poprosiłam o rejestrację tego zdarzenia kamerą. Napisałam też wyraźnie w liście

do publiczności, które stany emocjonalne uważałabym za plagiat.

A może po prostu we własnym przedsięwzięciu czuła by się Pani bardziej komfortowo? Myśli Pani ponoć o własnym teatrze.

To za dużo powiedziane. Mnie po prostu interesuje jakaś sala, w której mogłabym robić teatr oparty przede wszystkim na moich tekstach, ewentualnie, w której mogłabym realizować pewne swoje bardzo autorskie pomysły. Parę takich powstało, kiedy uczyłam w szkole teatralnej, też zresztą już nie uczę..

Studenci Panią jednak dobrze wspominają.

Tak chyba tak. Bo to był znakomity okres, życiodajny dla obu stron. Robiłam dość nietypowe rzeczy. Miałam przedmiot o niewdzięcznej nazwie „proza”. I starałam się w nim wyjść poza schemat. Nie robiłam ze studentami tekstów znanych im z konkursów recytatorskich. Zajęliśmy się na przykład tekstami publicystycznymi – o alpinistach czy o awanturze z impresjonistami. Chodziło mi przede wszystkim o to, żeby jakoś pobudzić studentów intelektualnie, żeby choć na chwilę zetknęli się ze światem kompletnie innym niż ten, w który wejdą za moment, grając w serialach. Trochę ich chciałam porozgałęziać.

A po co im to właściwie?

Bo są młodzi. I póki co – chłonni. Ile się nałykają teraz, tyle ich będzie. Czasem myślę, że teatr to taka stojąca mieszanina emocji – dlatego trzeba nią poruszać od czasu do czasu. Ja sama czytam coraz mniej beletrystyki – tyle się dzieje w nauce w przyrodzie, żadna powieść nie zastąpi np. świata opisanego w książce „Świat w którym żyją zwierzęta” Vitusa Droschera – to jest zwierzęcy psycholog, który opisał gatunki zwierząt o których nie mamy pojęcia, opisał ich obyczaje – ile razy oglądałam wiadomości zawsze pamiętam, że to jest jakiś niewielki wycinek tego, co się dzieje, że np. w tym samym czasie mrówka pustynna, która ma kilka milimetrów i klimatyzację wmontowaną w organizm, prze-

mierza właśnie swój maleńki odcinek pustyni. Na mnie ta równoczesność robi ogromne wrażenie.

Czy Pani ma poczucie straty czasu?

Mnie po prostu interesuje wiele rzeczy – myślę, że to cecha ludzi z tzw. zespołem dekoncentracji uwagi, który zdecydowanie mnie dotyczy. O widzi pan, to jest na przykład kolejna dziedziną, na którą się rozgałęziłam. Bardzo długo poszukiwałam klucza do tajemnicy za którą kryje się fakt, że z pewnymi rzeczami radzę sobie lepiej niż inni, a z niektórymi, niezwykle prostymi i oczywistymi, zupełnie nie.

Z czym na przykład?

Np. mogę przeczytać ze zrozumieniem „Historię filozofii” a nie jestem w stanie zrozumieć instrukcji podłączania lodówki. Nie mam pojęcia, co to znaczy np. logarytm i gdyby nie nauczycielka, która mi przekazała ściągę na maturze, nie zdałabym jej na pewno. Po prostu mam w głowie jakiś prąd zmienny, który powoduje, że coś tam styka na wysokim napięciu, a coś kompletnie nie. I ja bardzo długo szukałam odpowiedzi na te i inne pytania – wreszcie znalazłam je w tym zespole, który się zresztą źle nazywa, bo to nie jest zespół dekoncentracji uwagi, tylko zmienności koncentracji. Czy ja pana nie nudzę? Bo na ten temat mogę bardzo długo..

Aż tak to Panią zajmuje?

Do tego stopnia, że założyłam na ten temat stronę internetową. Gdyby mi ktoś kiedyś powiedział, że będę miała coś takiego, to bym nie uwierzyła. Zaczęło się od mojego felietonu pt. „Uwaga” w Wysokich Obcasach. Napisałam o tym zespole i odzew był niesamowity. Pisali do mnie ludzie, którzy czują się udręczeni swoimi cechami, a jednocześnie świadomi swoich możliwości. No, krótko mówiąc, założyłam taką stronę, która działa dość sporadycznie, jak to u ludzi z zespołem dekoncentracji, ale za to koresponduję z wieloma, spotykamy się..

Grupa wsparcia?

Tak. Proszę mi wierzyć, że jest



JOANNA SZCZEPKOWSKA

Urodziła się w Warszawie. Jej ojcem był znany aktor Andrzej Szczepkowski, dziadkiem zaś Jan Parandowski. Warszawską PWST ukończyła w 1975 roku. Od lat publikuje felietony w „Wysokich Obcasach”. Właśnie przygotowuje się do premiery spektaklu „Siostry” (wg „Trzech siostr” Cechowa) Pera Olova Enquista, w reżyserii i adaptacji Piotra Cieślaka z Katarzyną Figurą i Jadwigą Jankowską-Cieślak w Teatrze Dramatycznym w Warszawie.

co wspierać. Tacy ludzie mogą mieć fantastyczne wyniki, jeśli zdołają przechrzcić swój mózg. Ale już może zmienimy temat – ja często muszę zmieniać tematy, jak to u takich właśnie wyżej opisanych.

No właśnie – w Pani felietonach, opowiadaniach rzeczywiście jest mało np. teatru, jakichś wiadomości o Pani życiu..

I nie będzie. Co do felietonów, to ja sobie założyłam taki gatunek jak felieton literacki czyli, że każdy z nich (no może

poza kilkoma interwencyjnymi) to jest takie małe opowiadanie na jedną stronę. Na ogół postaci są wymyślone, sytuacje też, natomiast sam problem tak czy inaczej aktualny. Nie chciałam pisać np. publicznego pamiętnika. Moim zdaniem to nikogo nie obchodzi.

Ależ to właśnie wszystkich obchodzi..

No dobrze – to mnie nie obchodzi, że to kogoś obchodzi. Natomiast kiedy zaczęłam pisać książkę, czyli swoje opowiadania „Fragmenty z życia lustra”,

to tam się dopiero rozgałęziłam! Samo pisanie było niczym w stosunku do studiów, które sobie zafundowałam w związku z różnymi dziedzinami, których dotyczyły te opowiadania. Obłożyłam się książkami o genetyce, o parapsychologii, o jasnowidzeniu. No i to są właśnie zalety dekoncentracji uwagi – sto pomysłów na raz.

No właśnie i co będzie – bo jedni uważają, że powinna Pani pisać, inni, że grać...

No to pewnie będę rysować. Drzewa. Nie.. nie.. mówiąc serio, mam nadzieję, że uda mi się to połączyć, chociaż to jest trochę takie rozdwojenie jaźni. Aktorstwo to jest ekstrawertyzm. Wszystko na sprzedaż, praca zespołowa, przełamywanie oporów na oczach innych a pisanie to jest introwertyzm. Cisza, intymność samotność. A doba ma



„Jest we mnie coś z menela...
Taki autodestrukcyjny element.”

24 godziny i jednak ciężko to wszystko połączyć w jednym człowieku. A tak prawdę mówiąc, to ja przy całej swojej pracowitości jestem potwornie leniwa. Najchętniej siedziałabym nad morzem i patrzyła na wodę. Kiedyś zamieszkałam w wiosce rybackiej.

Nie szkoda Pani talentu?
Nic nie poradzę. Jest we mnie coś z menela. Takiego menela, który zamiast się o coś starać, zabiegać, woli sobie czasem usiąść i porozmyślać. To jest jakoś tam autodestrukcyjny element. Taka ciągła wątpliwość – czy nie warto by było trochę odpocząć, odpocząć, pokłoszardować...

Kłoszardowała Pani kiedyś?
Wie pan, ja w ogóle trochę kłoszarduję. Nie tak „na poważnie” w metrze i bez domu. Ale zdarza mi się rezygnować z wielu rzeczy, czasem zawodo atrakcyjnych, czasem dobrze płatnych – i słono, w sensie socjalnym, za to płacić. A rezygnuję z nich na rzecz wolnego czasu, powłóczenia się trochę, porozmyślania, poobserwowania.

Mimo wszystko jest Pani szczególnym menelem – takim co ma willę na Saskiej Kępie.
Niekoniecznie... Ja wynajmuję to mieszkanie. Miało to być tylko na moment po tym, jak córki się ode mnie wyprowadzi-

ły, tymczasem mieszkam tu już parę lat.

Hmm... kłoszard wynajmujący willę na Saskiej Kępie – to brzmi jeszcze lepiej
Pół willi..

Dzwoni telefon. Joanna Szczepkowska umawia się z kimś na rozmowę.

Niesamowicie swoją drogą.

Co takiego?
Co chwila ktoś do mnie dzwoni i chce jakiejś mojej wypowiedzi na temat kraju, społeczeństwa Dziwne. Teraz jest tego więcej niż mojej rzeczywistej artystycznej pracy. Zdaje się,

że bezwiednie zostałam komentatorem.

Oj, może trzeba było nie mówić w dzienniku, że 4 czerwca 1989 roku skończył się komunizm.

Nie żałuję. Ale tak szczerze, mnie zawsze sprawy społeczne żywo obchodziły. To się zaczęło jak byłam bardzo młoda – poznałam wtedy ludzi z KOR-u, zaczęłam się politycznie udzielać. Nigdy nie potrafiłam być zględem rzeczywistości obojętna.

Skąd to się wzięło?
Pewnie z domu. Zawsze się o tym rozmawiało, zawsze te sprawy były żywe. No bo kiedyś istniało coś takiego, jak rozmowa. Dziś jest wymiana informacji. Pamiętam rozmowę z producentem na temat jakiegoś mojego scenariusza. Powiedział – To jest za dobre. Nie na ten kraj. To była straszna rozmowa. To wcale nie był jakiś wielce trudny scenariusz. Nie wiem, do czego my równamy. I nie wiem dlaczego – może ze strachu?

Przed czym?
Przed autentycznością, przed własnym językiem przed.. Ale nie wszędzie nie zawsze. W Polsce naprawdę dzieje się dużo dobrego, tylko jakoś media niechętnie o tym mówią. Ja dużo jeżdżę, spotykam ludzi z ogromną inicjatywą, ale na pierwszych stronach gazet zawsze będzie raczej morderca... dlaczego mi się pan tak przygląda?

Interesuje Panią społeczeństwo. Do tego geny i środowisko. Jest pani idealnym przedstawicielem łże-elit.
A co to takiego?

Określenie wywodzących się ze środowiska KOR kulturalnych czy intelektualnych elit naszego kraju ukute przez Jarosława Kaczyńskiego.
W pełni Pani mu odpowiada. Naprawdę? Na miłość boską, jak to się pisze? Razem? Z dywizmem? No cudowne – łże-elity. Wspaniale – właściwie dotąd nie bardzo wiedziałam, kim jestem! Jestem łże-elitą! Odnalezienie siebie to jest w sumie cel psychoterapii. Serdecznie panu dziękuję.
Rozmawiał Witold Głowacki